

ROZLICZENIE Z SOCREALIZMEM – VII ZJAZD ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Swoboda twórcza w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny światowej zanikła po całkowitym rozgromieniu opozycji politycznej. W efekcie zmian politycznych nastąpiła także ofensywa komunistów na „froncie kulturalnym”. W pierwszym rządzie objęła ona środowisko literatów, których Stalin uważał za inżynierów dusz ludzkich, przypisując im znaczącą rolę w procesie budowy systemu i tworzenia „nowego człowieka” socjalizmu.

Wiara w kreatywną moc słowa nakazywała literatom nie tylko opisywać, ale wręcz tworzyć nową rzeczywistość. By skutecznie literaci mogli odegrać swą rolę, należało wyeliminować swobodę twórczą, podporządkować ich jednemu ośrodkowi decyzyjnemu i wytyczyć jeden kierunek. Dlatego też na początku 1949 r. odbył się w Szczecinie zjazd Związku Literatów Polskich, na którym ówczesny minister Włodzimierz Sokorski przedstawił nowe zasady twórczości literackiej. „Nie istnieje neutralna postawa pisarza” – podkreślił Sokorski, a Stefan Żółkiewski dopowiedział: „wartość dzieła literackiego sprawdza się odpowiedzią na pytanie, co zdziałało dla budowy socjalizmu w Polsce”. Upaństwowienie całokształtu życia w Polsce spowodowało, że zanikł prywatny mecenat. Państwo kontrolowało rynek wydawniczy, tylko ono mogło więc zamówić i wydać dzieło literackie i co nie mniej ważne, zapłacić za nie, zapewniając artyście egzystencję. Mogło także nie tylko zakazać pracy twórcom, ale nawet, przynajmniej we własnym mniemaniu, wymazać niepokornego literata z przeszłości. W tych warunkach pisarze stanęli przed trudnym i, jak się wydawało, ostatecznym wyborem: albo podporządkować się narzuconym odgórnie zasadom, mimo że oznaczały one często całkowite zerwanie z dotychczasową linią własnej twórczości i wpisanie się w nurt „budowniczych socjalizmu”, albo zupełnie wycofać się z życia artystycznego. Przekonanie o wiecznie trwałym systemie nie pozwalało bowiem na przyjęcie postawy wycofującej. Zdecydowana większość pisarzy w mniejszym lub większym stopniu uległa tej presji.

Śmierć Stalina, a następnie przełom październikowy 1956 r. przyniosły kres sterowaniu kulturą. Przed pisarzami stanął teraz trudny problem rozliczenia się z własną przeszłością. Ta problematyka zdominowała obrady VII Zjazdu Związku Literatów Polskich, który odbył się na przełomie listopada i grudnia 1956 r.

Początkowo nic nie zapowiadało burzy. Być może nikt nie zwrócił uwagi na zdanie wypowiedziane przez Michała Rusinka, który wycofując swoją kandydaturę do prezydium zjazdu, stwierdził, że zamierza wystąpić z przemówieniem, „które może nie będzie dogadzało pewnej grupie na sali”. Także w liście skierowanym do uczestników zjazdu przez KC PZPR, choć w nowych słowach, pobrzmiwały stare tony. Podkreślono wprawdzie, że literatura polska

chwalebnie zapisała swą kartę w walce o socjalistyczną i demokratyczną myśl naszego narodu i naszej partii, śmiało i odważnie demaskując dogmatyzm, obłudę i kłamstwo, jednak równocześnie podkreślano, że „kto mówi szczerze: socjalizm i demokracja – ten musi rozumieć, że oznacza to skupienie wszystkich żywych, twórczych sił wokół idei VIII Plenum, wokół partii i jej nowego kierownictwa”, a „każdy pisarz dźwiga w swym sumieniu wielką odpowiedzialność za dalszy rozwój polskiej drogi do socjalizmu”.

Na sali obrad nie znalazł się ze względów oczywistych ani jeden obrońca realizmu socjalistycznego. Socrealizm był – zdaniem Anatola Sterna – tylko dopełnieniem stalinowskiej historii WKPb, która uczyła, że cel uświęca środki... W ciągu siedmiu lat powstała niezliczona ilość spreparowanych według wszelkich zasad sztuki dramatów socrealistycznych i powieści tej literatury, którą Rusinek nazwał literaturą buraczano-tractorową. Jednak, jak podkreślił mówca, ani jedno z tych arcydzieł nie ocalało jako dzieło literackie, a potomni będą je studiowali jako objawy psychopatologii społecznej.

Próbę rozrachunku z minionym okresem podjął ustępujący prezes – Leon Kruczkowski. Już na wstępie swego przemówienia domagał się, by w ocenie poprzedniego okresu okazywać szacunek dla prawdy i mieć poczucie odpowiedzialności za przeszłość. Protestował w ten sposób przeciwko porównaniu działalności władz związku do beriowszczyzny w aparacie bezpieczeństwa. Starał się udowodnić, że zarząd nie monopolizował w swym ręku środków materialnych, nie decydował o przyznawaniu nagród literackich, wreszcie nie odegrał głównej roli w procesie „musztrowania” pisarzy. Uprzedzając jakby kolejne wystąpienia, sugerował, by w procesie obrachunku z przeszłością nie posługiwać się zarzutami, jak to określił – „urojonymi, pretensjami wyssanymi z palca, oskarżeniami fałszywie adresowanymi”. Podkreślił, że wszyscy pisarze byli świadkami szkodliwych metod, za pomocą których ówczesna polityka kulturalna partii i państwa usiłowała wpływać na rozwój literatury i sztuki. Te fałszywe koncepcje stwarzały niepomyślny klimat dla rozwoju ambitniejszej twórczości, zachęcały do łatwizny, degeneracji pojęcia „zamówienie społeczne”, demoralizowały pisarzy i były szkołą cynizmu. Dodał równocześnie, że Związek Literatów najmocniej opierał się tej tendencji, choć przyznawał, że nie prowadzono konsekwentnej walki z absurdami w polityce partii wobec środowiska literatów, a nawet przyznawał, że związek stawał się instrumentem tej polityki. Zdecydowanie odrzucił jednak tezę, że w poprzednim okresie pojawiła się grupa zbiurokratyzowanych działaczy związkowych, którzy zapanowali nad „Bogu ducha winną, zmaltretowaną rzeszą literackiej społeczności i w związku z tym całe zło należy przypisać zarządowi związku”. Bronił przy tym tych, którzy w minionym okresie nie zaprzestali działalności literackiej, wskazując, że pisarze polscy w większości szczerze uznawali rozumny sens głównych założeń władzy ludowej w dziedzinie kultury, takich jak na przykład praca ludzka jako nowy bohater literatury czy zerwanie z tak zwaną apolitycznością. Wzywał wreszcie, by w czasie zjazdu nie dzielić się na sędziów i podsędnych, zwłaszcza jeśli wśród sędziów tu i ówdzie pojawią się twarze wczorajszych inkwizytorów.

Kolejny mówca (Rusinek) zadeklarował, że jego celem nie jest rozprawienie się z realizmem socjalistycznym, gdyż jak stwierdził, to „rachityczne niemowlę zostało już żywcem pogrzebane i to przez dawnych, jakże jurnych zaptadniaczy”. Przystąpił natomiast do gruntownej oceny osób odpowiedzialnych za kierowanie twórczością literacką. Polemizując z Kruczkowskim, stwierdził, że związek miał kolosalny wpływ na wszystkie dziedziny związane z literaturą, ponosi więc odpowiedzialność za to, co wydarzyło się w poprzednim okresie. Dostrzegał jednak różnice w stopniu odpowiedzialności, podkreślając, że we władzach związku



Leon Kruczkowski

znajdowali się koledzy, którzy rozumieli swoje funkcje formalne z wielkimi wewnętrznymi oporami, przymuszeni uciskiem całej ówczesnej sytuacji. Piętnował więc tylko tych, którzy „zasmakowali w tyranii, nawet do niej w prasie nawoływali, pilnie strzegli, by nie dopuścić żadnego luzu”. Jego zdaniem ci właśnie w okresie odwilży rozpoczęli ożywioną działalność, by „zatrzeć ślady swojej zbrodni i gwałtu”. Działalność tę ocenił zresztą bardzo krytycznie. Jego zdaniem aktyw związku prowadził własną politykę, polegającą na systematycznym odpychaniu uczciwych, ale opornych talentów i uprzywilejowywaniu wyrobniczej miernoty, dla której tylko w takich warunkach mogła istnieć szansa popularności, niezastużonych zaszczytów i nadmiernych zysków. Natomiast w stosunku do pisarzy szanujących swe pióra zorganizowano w przemyślny sposób przymus milczenia. Taka polityka przyniosła największe szkody wśród młodych pisarzy, którym zamiast rzeczywistych autorytetów podsuwano „jedynie wzory spośród podszczuwaczy i krzewicieli realizmu socjalistycznego. Patriotą, uczciwym obywatelem swojego kraju, dobrym pisarzem i człowiekiem postępu był w oczach aktywu związku ten, kto powtarzał cytaty, bił nieprzytomnie oklaski i służalczą plugawił swe pióro. Zdrajcą narodu, reakcjonistą, zacofańcem, a w najlepszym razie głupcem nazywano każdego spośród nas, kto bronił się przed kłamstwem, trwał w czystości swego światopoglądu, kto przeciw fałszowi protestował jedynym dostępnym mu środkiem – milczeniem. Pisarzy o mniejszej sile charakteru łamano doszczętnie, często wyzyskując ich życiowy niedostatek, i ten akt wyrwania im z serc sumienia ogłaszano jako ideowe zwycięstwo. Organizowano wrzawę reklamową wokół lichych dzieł i lichych nazwisk, a jednocześnie pielęgnowano głuchość wokół niezłomnych w swej postawie kolegów, którzy uważali za swój pisarski i obywatelski obowiązek stronięcie od obłudy, kłamstwa i nie uczestniczyli w wyzbywaniu się dumy narodowej”. Podobne w duchu było wystąpienie Jana Ożoga. W jego opinii pisarzy oceniano wyłącznie według legitymacji partyjnej, PZPR zaś popierała swojego Putramenta, Polewkę i „pryszczatych”, a poza tym nikogo. Pisarzom tym nie brakowało synekur, ale kolegów ich, bardziej utalentowanych i mocniej związanych z klasą robotniczą i chłopstwem, skazywano na nędzną wegetację lub śmierć głodową.

W podobnym stylu swą ocenę niedawnej przeszłości przedstawił cytowany już Stern. Usprawiedliwiał jednak częściowo polskich pisarzy, uważając, że nie analizowali oni możliwych konsekwencji decyzji o akceptacji nowego kierunku. Winę przypisywał natomiast ludziom odpowiedzialnym za politykę kulturalną państwa, którzy jego zdaniem „zasmakowali z czasem nie tylko w torturowaniu fizycznym ludzi, ale i psychicznym. Socrealizm był bowiem w gruncie rzeczy taką formą tortury”. Taka zwulgaryzowana forma realizmu musiała u nas z trzaskiem pęknąć. Zakończył optymistycznie, konstatując, że obecna rola socrealizmu jest już czysto historyczną rolą wymarłego gatunku, choć jego wpływ nie zaniknął jeszcze całkowicie.

Mniej optymistyczny był Artur Sandauer. Jego zdaniem wpływom „zamordyzmu” ulegli nie tylko ci, którzy go uprawiali, lecz także ci, którzy z nim walczyli. Schematyści uważali, że najważniejsze jest wprowadzenie do literatury tematyki produkcyjnej, co rozwiąże problem. Przeciwnicy takiego myślenia zastosowali pod ich wpływem równie ulgową taryfę wobec byle sentymentalnej szmiry, jeśli nie miała produkcyjnej tematyki. Zamordyzm – choć przewyciężony – narzuca więc zwycięzcom swe metody i zatruwa atmosferę rozkładem.

Równie krytyczny, choć prezentujący wyższą klasę był Julian Przyboś. W jego opinii „tak jak w gospodarce wzór stalinowski był w wielu dziedzinach cofnięciem się do form przedkapitalistycznych, tak też koncepcję literatury i sztuki cofnięto do epoki feudalnej. Socrealizm wymagał umysłów zacofanych, jego teoretycy stawiali na głowy ograniczone i na charaktery służalcze.

Niektórzy mówcy po zdiagnozowaniu sytuacji przechodzili do radykalnych recept uzdrowienia, tkwiących korzeniami głęboko w stalinizmie. W swym wystąpieniu Juliusz Wirski proponował bowiem utworzenie specjalnej komisji weryfikacyjnej związku, z udziałem tych, którzy byli prześladowani w minionym okresie. Zadaniem tej komisji byłaby ocena, kto rzeczywiście jest pisarzem. Tylko osoby w ten sposób zweryfikowane mogłyby dalej tworzyć.

Część uczestników zjazdu nie chciała wdawać się w rozważania na temat przeszłości. Jak powiedział Jan Wyka, „nie mam ochoty staczać zapasów z pokonanym, który według reguł tej dyscypliny sportu położony został na obie łopatki zarówno przez inne drużyny, jak i przez swoją własną”. Stanowisko takie poparła także Maria Dąbrowska.

O wiele dalej poszedł natomiast Jerzy Zawieyski. Podkreślił on, że temu, co się stało, nie zawiniли wyłącznie pisarze, a presja pewnych fałszywych pojęć była tak silna, iż nawet silni się załamali. Nie czas jednak na rachowanie w tej chwili, przerzucanie winy na siebie. Należy odbudować wzajemne zaufanie, rozpocząć pracę od nowa. Dramatycznie zabrzmiały jego słowa skierowane do wczorajszych przeciwników. „Chcę specjalnie zwrócić się do kolegów komunistów, do młodych zwłaszcza, ponieważ tyle tu padło oskarżeń, ponieważ tu padły słowa nienawiści, słowa potępień, myślę, że przyjmiecie słowo zrozumienia. To cały ludzki dramat, to co koledzy przeżyli. Nie myślę, aby wszyscy byli tak cyniczni, by dla nich było to bez znaczenia. Myślę, że przeżywają nieraz w samotności bardzo ciężkie chwile. To jest jeden z najcięższych dramatów, w jaki się człowiek może uwikłać. Należy to uszanować i nie tylko uszanować, ale wezwać kolegów, aby na nowo uwierzyli w siebie, aby na nowo uwierzyli w literaturę”.

Przeciwny rozpamiętywaniu przeszłości był także Stefan Kisielewski. W swym wystąpieniu podkreślił szczególnie, że „nie wolno sądzić polskich pisarzy minionego okresu nikomu, kto sam nie był poddany stalinowskiej metodzie urabiania mózgow”. Kto nie był pacjentem w owym stalinowskim laboratorium, ten nie bardzo ma prawo oskarżać innych. Podkreślał przy tym, że sam pacjentem nie był, gdyż miał szczęście trafić do środowiska katolickiego, odczuwał nawet zażenowanie, że nie dane mu było dzielić z innymi tego duchowego więzienia,



Jerzy Putrament

jakim była ówczesna literatura polska. Jego zdaniem w sytuacji powstałej w 1956 r. obojętne było dla Polski, „co myśleli i robili Ważyk, Kott czy Jastrun osiem – dziesięć lat temu. Ważne jest natomiast, że winę swą i odcierpieli wewnątrz, i naprawili w ostatnim czasie zewnętrznie, ważne jest, że dziś wiele zrozumieli i chcą służyć prawdzie”. Choć Kisielewski dostrzegał różny stopień winy w tworzeniu poprzedniego systemu wśród poszczególnych osób, bolał tylko nad tym, że im właśnie trudniej będzie dostosować się do nowej rzeczywistości. Życząc im powodzenia, podkreślał, że nie zamierza kontynuować stalinowskiej metody wdzierania się ludziom do duszy.

W większości wystąpień przewijały się sprawy przyszłości literatury w Polsce, by w sytuacji gdy stalinizm wytrzebił autentyczne reakcje społeczne, mogła ona, jak to określił Stefan Kisielewski, być termometrem, sprawdzianem życia, relacją o rzeczywistości, wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Było to szczególnie ważne w kraju, w którym jawna reprezentacja opinii publicznej nie istniała i rodziła się dopiero „po latach milczącej, kamiennej, wyjąłowanej nocy”. W tym procesie Związek Literatów Polskich miał, w opinii Kisielewskiego, być sumieniem rządzących, duchowym parlamentem narodu czy wreszcie strażnikiem i inspiratorem wolności.

Swoistym podsumowaniem tej gorącej dyskusji była wypowiedź Jerzego Zagórskiego. „Pa-dały z tej trybuny słowa podminowane emocją i słowa rozwagi. Porachunki osobiste okrywała oliwa przebaczenia sobie wszystkiego. Tak się złożyło, że najwięcej słów przebaczenia słyszeliśmy od ludzi najdłużej czy najbardziej krzywdzonych. [...] Jeśli amnestia – to amnestia dla wszystkich [...] jeśli nie mamy utopić naszej szansy na rozpoczętą rewolucję. [...] Należy nie dopuścić do moralnego linczowania wczorajszych panów życia literackiego i śmierci kulturalnej. [...] Ci, którzy nie okażą dość energii w naprawianiu tego, co narobili, niech raczej zginą naturalną literacką śmiercią z rąk czytelników, niż będą zlinczowani przez kolegów”.

Gorąca dyskusja zjazdowa rzeczywiście rozpoczęła powolną drogę odchodzenia od „socialistycznych wypaczeń” i odzyskiwania przez literaturę należnego jej miejsca w życiu narodu.